

Wakacyjna burza

Był koniec czerwca. Jak zwykle zaczęliśmy szykować się z siostrą do dziadków na wieś, ale tym razem czekała nas niespodzianka.

- Na dwa tygodnie pojedziemy nad jezioro - oznajmiła mama. - Pojutrze tata nas tam zawiezie.

To było coś niesłychanego! Jeszcze nigdy nie byliśmy nad jeziorami. 1 nigdy nie mieszkaliśmy w leśnym domku. Już sobie wyobrażałam kryty słomą spiczasty dach z krzywym kominem i drewniane ściany, skrzypiące gdy domek obraca się na kurzej łapce. Bo taka chatka musi się przecież kręcić. Doskonale wiedziałam o tym z bajek. "Na pewno w środku będzie okopcony piec, czarny kot i zaspana sowa" - rozmyślałam pakując do swojego plecaka kredki, ołówki i blok rysunkowy. Razem z siostrą chciałyśmy napisać książeczkę dla dzieci. Ja miałam wymyślić tekst, a Helenka zrobić ilustracje. Potrzebowałyśmy tylko odpowiedniego tematu. Wierzyłyśmy, że nad jeziorem na pewno coś nam przyjdzie do głowy, więc niecierpliwie czekałyśmy na wyjazd.

W sobotę rano tatuś zapakował nas do auta. Padał okropny deszcz i było zimno. Nic nie zapowiadało, że będą to pogodne wakacje. Dodatkowo humor zepsuła nam wiadomość, że tato nie zostanie z nami. Na dwa dni przed wyjazdem dowiedział się, że nie dostanie urlopu. Biedny. Postanowiłyśmy, że naszą książeczkę napiszemy specjalnie dla niego.

W ponurych nastrojach dojechaliśmy do celu, czyli do Małej Wsi. Ciekawie rozejrzałyśmy się po leśnej osadzie, w której miałyśmy spędzić dwa tygodnie. Niewiele mogłyśmy dostrzec w ścianie deszczu oprócz kilku pochowanych między drzewami budynków i małej kaplicy. Nasz domek stał na skarpie tuż nad rozległym jeziorem. Trochę się rozczarowałyśmy, bo w niczym nie przypominał chatki Baby Jagi. Przede wszystkim nie miał kurzej łapki i komina. Co do kota i sowy to nie było problemu. W lesie otaczającym wioskę musiało być dużo zwierząt. O, proszę, na mokrych schodkach rozczapierzyła się obślizgła ropucha z wytrzeszczonymi ślepskami. Spojrzałyśmy z obrzydzeniem na pokrytego brodawkami stwora i mimo, że krople deszczu toczyły się z dachu za nasze kołnierze, nie kwapiłyśmy się z wejściem do domku.

- Zabierz to paskudztwo - poprosiła tatę mama - bo dziewczynki nie ruszą się z miejsca.

Tatuś wziął w dwa palce ropuchę, która strasznie się nadeła i zmrużyła żółte ślepie. Mało, że wyglądała wstrętnie, to jeszcze na dodatek groźnie. - Prawdziwa przyjaciółka czarownicy - wyszeptalam patrząc jak poczwara łąduje w trawie i potrzasa złowieszczą burą łapą. Zupełnie jakby nam wygrażała. Wydawało mi się, że przez szum deszczu przedarł się jej nieprzyjemny syk - Jeszcze sssię ssspotkamy!

- Trzeba być czujnym - powiedziała patrząc na mokre schodki.

- Co tak stoisz i mogniesz? Chodźże wreszcie - tatuś wychylił się przez okno machając ręką.

Zdecydowałam się wejść na schodki. Przedtem jednak upewniłam się, czy nigdzie nie ma ropuchy, ani czegoś równie potwornego. - Aniele Boży, Strózu mój - westchnęłam i prawie biegiem dopadłam uchylonych drzwi. Nieśmiało rozejrzałam się po wnętrzu domku. Panował tam półmrok, więc rodzice musieli zapalić lampę. Ciepły, jasny krąg natychmiast objął nieduży stół przykryty kraciastą ceratą i cztery drewniane krzesła. Wokół pachniało trochę wilgocią, a trochę wykrochmaloną pościelą. Tato od razu włączył piecyk elektryczny. Po chwili zrobiło się przyjemnie ciepło. Na stole pojawiła się gorąca herbata i placek drożdżowy, który mama przezornie wzięła z domu. Chatka została już oswojona. Na tapczaniku rozgościł się mój pluszowy pies, a na półce stanął podniszczony święty obrazek, który zawsze z nami podróżował.

Zanim się rozlokowaliśmy nadeszła pora obiadu i trzeba było iść do stołówki. Na szczęście niebo się trochę przetało i spoza chmur zaczęło przebłyskiwać słońce. Zrobiło się weselej, chociaż zaraz po posiłku tatuś musiał odjechać. Obiecałyśmy sobie, że nie będziemy płakały. Mimo to, łzy płynęły nam strugami gdy machałyśmy tatusiowi na pożegnanie. Nasz widok wzruszył sympatyczną panią w okularach, która zamieszkała w sąsiednim domku. Zaraz zaprosiła nas z mamą do siebie i poznała ze swoimi dziećmi. Myślałam, że chociaż jedno z nich będzie w moim wieku. Niestety! Syn pani Halinki - Bogdan był okropnie stary, bo miał chyba z osiemnaście lat. Poza tym nosił długie

włosy i brzdąkał smętnie na gitarze. Natomiast jego pyzata siostra Jola od razu zaprzyjaźniła się z Helenką. Dzielili ich bowiem tylko dwa lata różnicy. Musiałam więc pogodzić się z rolą "tej smarkatej". W każdym razie miło było mieć nowych znajomych. Bogdan przez pierwsze dni snuł się między domkami szarpiąc bez sensu struny gitary. Jola uczyła się szydełkowania i co chwilę złościła się, że mamie jej to idzie. Moja siostra czytała jakąś mało ciekawą lekturę, bo wciąż ziewała i wzdychała "Ojejku...". Ja próbowałam skupić się nad pisaniem książki, ale zupełnie mi to nie szło. Nasze mamy starały się umilić nam czas spacerami w głąb lasu i brzegiem jeziora, albo grą w domino. Jednak dopiero niespodziewany wiatr, który na dobre przepędził chmury poprawił nam humory. Ze wszystkich domków wylegli na plażę wczasowicze. Bogdan natychmiast znalazł się na pomoście wśród głośno śmiejących się dziewczyn. Na ten widok wzruszyłam tylko ramionami i pokiwałam z politowaniem głową.

- Bardzo dobrze. Po co nam na kocu taki stary dziad - burczałam obrażona dłubiąc patykiem w piasku. Właściwie byłam trochę zła, że sobie poszedł, bo zostałam tylko z mamą i panią Halinką (Helenka z Jolą przeniosły się na drugi koniec plaży). Do obiadu otoczyłam nasze leżaki murem wspaniałych babek. W stołówce strasznie się wierciłam, bo chciałam jak najszybciej pokazać moje dzieło Helence. Zanim jednak skończyłam drugie danie do sali wkroczył pan Stach, opiekun całego ośrodka. Miał dla wszystkich wspaniałą wiadomość: popłyniemy statkiem na rejs po jeziorze!

Nazajutrz od rana słońce mocno przygrzewało i zapowiadała się wspaniała wycieczka. Helenka z Jolą zajęły ławkę przy samej burcie i nawet w środku zrobiły dla mnie miejsce. Oczywiście chodziło im o to, żebym dokładnie opowiedziała, co robił Bogdan na pomoście.

- Nikogo nie szpieguję. Mam ważniejsze sprawy na głowie - wolałam być ostrożna.

- No, nie bądź taka! Wiem, że robiłaś w pobliżu babki, to musiałaś słyszeć co nieco - przymilała się Jola.

- Dobra, powiem, ale pod warunkiem, że będziecie mnie ze sobą zabierać na dziką plażę.

Dziewczynki spojrzały na siebie robiąc dziwne miny.

- Co się namawiacie! - byłam gotowa już się obrazić.

- Wcale się nie namawiamy, a jak nie chcesz, to nie mów - nasrożyła się moja siostra. - Zresztą już odpływamy i zaraz tak zacznie kołysać, że nic z siebie nie wydusisz! Aha!

Helenka miała rację, bujanie statku przyprawiało mnie o mdłości.

Dalsza część rejsu upłynęła mi z nosem w przepołowionej cytrynie (stary sposób marynarzy) i papierową torbą na kolanach. Nie interesowały mnie osobliwości, które pokazywał pan przewodnik: ani rezerwat kormoranów, ani wyspa pustelników, ani śluzy i kanały łączące jeziora. Marzyłam o tym, żeby zejść już na ląd i żeby nie mieć w głowie tej wstrętnej karuzeli. Próbowałam z całych sił trzymać się skrzydeł mojego Anioła Stróża, ale mój Opiekun też się bujał, więc nie czułam żadnej ulgi. Dopiero po jakimś czasie zrobiło mi się lepiej i mogłam wystawić do słońca swoją kwaśną buzię (kwaśną, ze względu na minę i sok z cytryny). Niestety na niebie pojawiły się ciemne chmury i spod nich powiało chłodem.

- Będzie burza - usłyszałam nieprzyjemnej wiadomości. Wcale nie miałam ochoty ma jeszcze jedną przygodę i w dodatku na środku jeziora.

- Mamusiu utoniemy - oznajmiłam drżącym głosem.

- Nie bój się, za parą minut będziemy na przystani. Zobacz, to już całkiem niedaleko. Gdy schodziliśmy wreszcie na brzeg nagle błysnęło, zagrzmiało, a na ziemię spadły pierwsze grube krople. Nie czekając na pozostałych pobiegłam do naszego domku na skarpie. Goniły mnie groźne pomruki i szum deszczu. Zanim nadbiegły mama z Helenką ja siedziałam już pod ławką na ganku i trzęsłam się jak galareta. Burza rozszalała się na dobre. Zrobiło się tak strasznie ciemno, że w chatce trzeba było zapalić lampę. Nie trwało to jednak długo. Wiatr przeraźliwie zawył, za oknem zrobiło się biało i nagle potężny huk zatrzęsł całą ziemią. Zgasło światło, ja wrzasnęłam i w

mgnieniu oka wczołgałam się pod łóżko. Na perswazje mamy, żebyśmy stamtąd wyszła zaprotestowałam:

- Nigdy w życiu!

Moja siostra, odważniejsza i mądrzejsza ode mnie, uklękła przed naszym obrazkiem i zamasyściła się przeżegnała. Na ten widok wypełzłam nieśmiało spod tapczanu. Próbowałam nawet się modlić, ale wyglądało to dość rozpaczliwie: bełkotałam i podrygiwałam za każdym razem, gdy w jezioro uderzał piorun. W końcu mama musiała wziąć mnie na kolana i utulić. Z całej siły wcisnęłam w jej bluzkę zapłakaną buzię. Wyobraziłam sobie, że tulę się do Matki Bożej z naszego obrazka. - O Maryjo najukochańsza, zabierz tę burzę - szlochałam - tak się boję, tak bardzo się boję...

W tym momencie włączono prąd. - Nareszcie, przynajmniej będę mogła sobie poczytać - ucieszyła się moja siostra moszcząc się na tapczanie.

- Zgaś lampę! Przecież jest burza! - krzyknęłam.

- No to co?

- To, że światło przyciąga pioruny!

- Nieprawda.

- Prawda! Mamu powiedz jej!

Na prośbę mamusi moja biedna siostra musiała zrezygnować z czytania, bo do wyjącego za oknem wiatru dołączyło się moje wycie. Dalej więc siedziałyśmy po ciemku. Helenka była zła, mama mnie kołysała, a ja zatykałam uszy i zaciskałam powieki. Nic nie chciałam widzieć, ani słyszeć. Z tego wszystkiego nie poczułam nawet, że gryzę maminą bluzkę.

Wreszcie burza zaczęła przycichać. Powoli otworzyłam oczy i niepewnie się wyprostowałam. Niebo pojaśniało, mżył już tylko przyjemny ciepły deszczyk. Mama z Helenką poszły do pani Halinki po krople uspokajające, a ja nieśmiało wychyliłam się przez okno, pod którym właśnie przechodził Bogdan.

- Ej, mała, - zawołał - mam coś dla ciebie.

Ku mojemu zdumieniu wyjął z kieszeni moją ulubioną czekoladę z kawowym nadzieniem.

- Dziękuję - bąknęłam oblewając się rumieńcem - bo wiesz ja strasznie boję się burzy, a dzisiaj, to prawie zjadłam mamie bluzkę i nie pozwoliłam palić światła i... i...

- Ja też się nieźle spietrałem, jak zaczęło walić w jezioro - roześmiał się Bogdan i zmierzwił mi mokre włosy. Potem pogwizdując poszedł sobie na pomost, a ja stałam z tabliczką czekolady zawstydzona i zadowolona jednocześnie. - Ojej - westchnęłam.

Wydawało mi się, że w środku siebie zobaczyłam uśmiech, więc sama też się uśmiechnęłam. Szybko połamalam czekoladę.

- Jak zjemy, to zaczniemy pisać książkę - powiedziałam do Helenki sadowiąc się przy stole.

Zamiast książki napisałyśmy jednak bardzo długi list do taty. Znalazły się w nim i opisy spacerów po lesie i nasi nowi znajomi i rejs po jeziorze i ta nieszczęsna burza.

W każdym razie pogoda do końca pobytu była przepiękna i ani razu nie zagrzmiało. Jola i moja siostra zabierały mnie na swoją plażę, a Bogdanowi udało się wreszcie zagrać jakąś normalną piosenkę. Może dlatego, że się zakochał w Beacie? Mama z panią Halinką codziennie chodziły na

jagody, od których miały już brunatne palce i tak nie wiadomo kiedy minął czas naszego pobytu w Małej Wsi. Mówię wam, było naprawdę fajnie... A ja do tej pory pamiętam, żeby w każdym czasie pamiętać o modlitwie. Przypomina mi o tym różaniec, który zawsze noszę przy sobie: w czasie burzy i gdy świeci słońce...